

Borys Eichenbaum

Przez mosty i prospekty : z autobiografii (fragmenty)

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (53), 133-146

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Autobiografia

Borys Eichenbaum

Przez mosty i prospekty Z autobiografii (fragmenty)

W roku 1929 Borys Eichenbaum (1886—1959), wówczas profesor Uniwersytetu Leningradzkiego, wybitny przedstawiciel szkoły formalnej, wydał niewielką, 136 stron liczącą książeczkę pt. *Moj wriemiennik* (Moja kronika). Miała ona postać czasopisma krytycznoliterackiego z takimi działami, jak literatura piękna, nauka, krytyka, różności. W nocie do czytelników Eichenbaum pisał: „Po prostu zachciało mi się wcisnąć moje materiały w formę czasopisma, która nie bardzo udaje się współczesnym redakcjom. W XVIII wieku niektórzy pisarze wydawali takie czasopisma, wypełniając je własnymi utworami. Czasopismo to szczególny gatunek, różny od almanachu, zbioru itp. Z największą przyjemnością pisałem i gromadziłem materiały, redagując w wyobraźni moje pismo. Cóż z tego, że to gra wyobraźni. Życie bez gry staje się czasem już nazbyt nudne”. *Przez mosty i prospekty* to autobiograficzny utwór zamieszczony w dziale literackim tego niby-czasopisma. Wybrane tu fragmenty dotyczą lat 1905—1912.

J. R.

Czarodziejska anatomia

*W każdym mieście jest zazwyczaj coś takiego,
czego nie ma w żadnym innym.
W Petersburgu — wystrzał armatni w południe ¹.
Miasto wdryga się i chwyta za kieszeń kamizelki. Przyjezdnemu*

¹ Mówi się, że 26 października 1917 r. z powodu rewolucji armata nie wystrzeliła.

zdaje się, że ludzie bledną z przerażenia. Rozlega się wycie syren — miasto ryczy jak śmiertelnie ranny zwierz.

Przyjezdny oczekuje popłochu i paniki. Ale w tym momencie ukazuje się na skale miedziany Piotr: unosi wysoko głowę i osadziwszy konia wyciąga dłoń nad miastem. Ryk cichnie. Życie zaczyna się od nowa. Taki jest obrzęd.

Pewien mały chłopczyk z Petersburga był święcie przekonany, że armata co dzień strzela z twierdzy «do wrogów». Taką miał koncepcję miasta i państwa. Raz się nawet zaniepokoił: «przecież armata może nie trafić w gromadę wrogów, co wtedy?».

Zresztą, ta rozmowa z moim synem odbyła się już w Leningradzie, po rewolucji. Przed rewolucją malcy mieli, rzecz jasna, inną koncepcję.

Trafiłem do Petersburga na chwilę przed paniką, tuż przed «wrogami». Czarodziejskie miasto przywitało mnie deszczem, powodzią i 1905 rokiem.

O dwunastej w południe drgnąłem i spojrzałem na zegarek. Było to koło Giełdy. Z drugiego brzegu Piotr wyciągnął czarodziejską dłoń. Jechałem wynająć pokój na Stronie Petersburskiej.

Woda nie opadała. Przez całą noc miasto wzdrygało się na huk wystrzałów². Jak cytat z Puszkina sterczał na skale Piotr. Nad ranem wszystko ucichło. Tym razem poemat się nie udał.

Nie udał się również mój studencki poemat czy też powieść. Ledwo zdążyłem przywdziać mundur studenta Akademii Wojskowo-Medycznej (oficerski szynel, szabla u boku — nocą czasem żołnierz zasalutuje, a spostrzegłszy pomyłkę, zaklnie), kiedy zaczęły się «rozruchy». Wprost z wykładów anatomii i histologii (profesor Maksymow, wyprowadzany i uperfumowany, lubił słowo «kolosalnie» i kolorową kredą znakomicie rysował na tablicy komórki) trafiłem na wiec w wielkiej, amfiteatralnie wznoszącej się sali — audytorium chemicznym. Na dole, koło stołu, esdecy spierali się z eserami. Idee nasycaly powietrze i ciepłą mgiełką unosiły się pod sufit. Siadałem na górze, żeby być niezależnym sędzią. Od idei oraz oddechów tłumy pince-nez zachodziło parą.

Pince-nez zacząłem nosić w Petersburgu. Okazało się, że mój wzrok, wystarczający w Woroneżu, tutaj był zbyt słaby. To mnie speszyło. Może nie jestem stworzony do tej skali? Może nie tylko wzrok mam słaby?

Zrobiłem się nieśmiały. Na wiecach, miał być sędzią, czułem się jak oskarżony. Sądzone mnie za to, że nie myślę o państwie, że mam krótki wzrok, że jestem człowiekiem małej, prowincjonalnej miary.

² Groźbę powodzi sygnalizowano w Petersburgu wystrzałami armatnimi. Kaliber pocisków i częstotliwość wystrzałów zwiększały się w miarę podnoszenia się stanu wody (przyp. tłum.).

W Woroneżu nie czuło się państwa. Gubernator Slepcow od czasu do czasu tańczył na balu w żeńskim gimnazjum, a policmajster Kłokaczow z fasonem odbywał przejażdżki po głównej ulicy: ryży lejcowy koń galopował z odchylonym w bok łbem, a policmajster z puszystym jasnym wąsem stał w powozie, jakby pozując artyście. Tylko tyle. Całkiem malutki Piotr w trójgraniastym kapeluszu, bez konia, stał sobie na skwerze, nikomu nie rozkazując, nie przeszkadzając, nie mając nawet pojęcia o swym groźnym sobowtórze ze stolicy. Żadnych armat, żadnych powodzi.

Ogarnął mnie smutek. Petersburg to nie miasto, lecz państwo. Nie można tu zwyczajnie żyć, trzeba mieć program, poglądy, wrogów, nielegalną literaturę, trzeba wygłaszać przemówienia, uchwalać kolejne punkty rezolucji, głosować itd. Słowem, trzeba mieć inny wzrok, inny mózg.

Ja zaś chciałbym po prostu żyć. Nie wzdrygać się, nie wygrażać pięścią, nie krzyczyć: «Cóż, budowniku mój miedziany? Cóż, cudotwórco?».

I oto w tym mieście-państwie, gdzie armata, Piotr, esdecy i eserzy, zostałem sam w małym pokoiku na Kronwerskim Prospeckie: z tępą szablą, w wojskowo-medycznym surducie, w pince-nez, ale bez żadnego zajęcia. Naprzeciwko — Dom Ludowy. Przed szóstą wspinam się na galerię, na bezpłatne miejsca. W dole Tannhäuser prze-klina Rzym. Mgiełka z oddechów tłumu znów zaparowuje pince-nez. Tyle, że tutaj nie jestem ani sędzią, ani oskarżonym. Wagner mnie broni przed napierającym zewsząd państwem. Głosuję za muzyką. Wolna Szkoła Wyższa. Tak z francuska nazywała się otwarta w 1906 r. na Angielskim Prospeckie nowa uczelnia. Kierował nią doskonale znany kursistkom z lat siedemdziesiątych nauczyciel mojej matki (wówczas jeszcze Głotowej) Piotr Francewicz Leshaft.

Wstępuję na wydział biologii. Tego domaga się mój medyczny surdut, żałośnie zwisający z drewnianego ramiączka i osłonięty prześcieradłem.

Wczesnym rankiem biegnę na Angielski Prospekt. Tniemy poprzecznie kości i ścieramy je, żeby otrzymać cienki preparat, nadający się pod mikroskop. Nie jest to łatwe, ponieważ w ostatniej chwili preparat łamie się — trzeba zaczynać od nowa. Exercise na upór i wytrwałość — coś w rodzaju życia ludzkiego. Samemu trudno to znieść. Dziewczyna z lokami tworzy ze mną «grupe». Odno-simy sukces i bez słów jest jasne, że już się nie rozstaniemy. Exercise nabiera nowego sensu i zaczyna przypominać nie tylko życie ludzkie, lecz również powieść drugorzędnego autora (realisty).

W sali gromadzi się około dwustu osób. Małeńki staruszek — zamiast ciała szczelnie zapięty czarny surdut osobliwego kroju; żywe, niespokojne, rozbłyaskujące siłą i uporem oczy; głowa nieco pochylona, jak gdyby mózg przeważał. Drobny, szybki chód — tak zwykle wchodzi do audytorium.

Katedry nie ma — staruszek spaceruje po sali i wyklada anatomię raz po raz zwracając się do któregoś ze słuchaczy. Od czasu do czasu zatrzymuje się i nastroszony wykrzykuje jakieś niezrozumiałe słowa — głośno, kogucim jakby głosem. Długo nie możemy pojąć, co znaczą te tajemnicze okrzyki. Głowa uniesiona, szyja wyciągnięta, ramiona wyprężone. Trzy razy zapieje, odkaslnie i znów zaczyna chodzić po sali. Dopiero oswoiwszy się ze starczą dykcją domyślamy się, że pyta: «Wszyscy zrozumieli?».

Tak pokrzykując w podnieceniu, dociera profesor do najistotniejszych zagadnień ludzkiego życia — do sprawy ludzkich zachowań. Zawstydza, ironizuje, wyśmiewa, żąda. Coraz częściej i przenikliwiej pieje: «Wszyscy zrozumieli?». Salę zalega cisza. Stary czarodziej, gestykulując i piejąc jak kogut, na naszych oczach buduje — jak architekt przyrody — cały ludzki organizm. Porywa ze stołu kawałek kości i z triumfem, jak wynalazca, nosi go po sali i podsuwa przed oczy: «Patrzcie uważnie. Wszyscy zrozumieli?».

Człowiek jest zbudowany zgodnie z prawami mechaniki — jak most. Żadnych niejasności. Wszystko można wyprowadzić a priori. Oto macie wewnętrzną budowę kości: to samo, co w łukach mostu, «krzywe ściskania» i «krzywe rozciągania». Jeszcze chwila i staruszek sam, swymi żyłastymi, sklerotycznymi rękami zbuduje człowieka. Dajcie mu tylko materiał i nie wtrącajcie się.

Szydzi z oficjalnej nauki, z państwa, Akademii Medycznej, z mojego mundurowego surdutu. «Pan doktor» — podrwiwa ze mnie — «pan klasyk». Oddala się od stołu i znów w koguciej pozie szyderczo wykrzykuje haniebnie i nieprzyzwoicie brzmiące łacińskie nazwy. Auditorium wybucha śmiechem.

Przeklina i złorzeczy jak Tannhäuser. W walce z państwem petersburskim pomoże mi teraz, prócz Wagnera, także i ten staruszek wraz ze swoją czarodziejską anatomią.

Zdaję całą osteologię. Po omacku, z zamkniętymi oczyma, po wypukłościach i wgłębieniach rozpoznaję najdrobniejsze kosteczki. Pojąłem, jak zbudowany jest człowiek, pozostaje jeszcze pytanie — p o c o?

Nie potrafię wrócić do Akademii i wkuwać łacińskie nazwy. Włóczę się po mieście — niespokojny i na wpół senny. Człowiek zbudowany jest jak most — ale p o c o?

Szedłem przez urojony most. Pode mną kołysały się «krzywe ściskania» i «krzywe rozciągania». Most chwiały się. Szedłem po omacku z zamkniętymi oczyma, z czyjąś czaszką w rękach. Z oddali, z drugiego brzegu słychać było pianie koguta, ale zagłuszał je chór pielgrzymów z «Tannhäusera». Nade mną popiskiwały skrzypce, a gamy chromatyczne, uciskając mózg, w pospiechu ześlizgiwały się w dół. Stąпам na drugi brzeg, zatrzymuję się i rzucam czaszkę w przestworza. Most zapada się. Przyłączam się do chóru pielgrzymów.

Osteologia była mostem na drugi brzeg. Czarodziejska anatomia Leshafta zaprowadziła mnie do muzyki. Młodość szła nie patrząc drogi i nie słuchała się miedzianej dłoni Piotra Wielkiego ani żyłastych rąk Piotra Leshafta.

Trzeba mi uwolnić się od państwa i od szkieletu ludzkiego. Szabla została sprzedana. Cudza czaszka zbudowana wedle praw mechaniki — usunięta. Z przeszłości zostało tylko pince-nez.

Nie jestem już gimnazjalistą z Woroneża, ale nie chcę też i nie potrafię być petersburskim studentem, który szczyci się naukowym światopoglądem.

Wstępuję w dziką przestrzeń wiatru i harmonii.

Romantyczne niepowodzenia

Muzyka była zamierzona w dzieciństwie, ale niefortunnie.

Kapelmistrz wojskowy Piecznikow uczył mnie gry na skrzypcach. Maleńkie, dziecinne skrzypce popiskiwały i pojękiwały pod moim smyczkiem, drażniąc mnie swym dzikim uporem. Kiedy podrostem, otrzymałem prawdziwe i nawet nie byle jakie. Zbudował je w XVIII w. niemiecki lutnik mistrz Klotz. Były z dobrego drzewa, miały piękny ton, wdzięczna szyjkę. Lubilem wkładać je do futerału i otulać pokrowcem. Nie podobał mi się natomiast głos, że nie ma akordów i pełnego dźwięku. Nie podobał mi się również sposób, w jaki należało się z nimi obchodzić: kłaść pod brodę, wyginać rękę, wodzić smyczkiem. Wydawało mi się, że w tej pozycji jest coś nienaturalnego.

Drażniliśmy siebie nawzajem — jak niedobrani kochankowie.

Skrzypce były jak wielka dama z Tyrolu, najwyraźniej przyzwyczajona (czułem to) do rąk zręczniejszych, bardziej doświadczonych, do namiętnych uścisków. Wspominała ojczyznę i XVIII wiek. W rzeczy samej — dokądże to rzucił ją los? Woroneski gimnazjalista nieumiejętnie i nieśmiało dotykał jej palcami, które prawie wcale nie wibrują. Nawet nie trafia od razu w ton — madame Klotz piszczy i fałszuje. Był to oczywisty mezalians.

Prawdziwą moją miłością był fortepian, ale mieliśmy stworzyć z bratem rodzinny duet. Mnie, jako skrzypkowi, nie pozwalano dotykać fortepianu, żebym brudnymi rękami nie smolił klawiszy. W domu panowała nadnaturalna, wyniosła czystość.

Pozostawała droga oszustwa i zdrady. Kiedy matka wychodziła, skrzypce zaś spoczywały w futerale otulone pokrowcem i zamknięte mocno na haczyki, skradałem się do fortepianu i przy świetle ulicznej latarni pieściłem białe klawisze. Fortepian odpowiadał mi z głębin pełnymi akordami. Podniecała mnie niektamana namiętność jego brzmienia. Kładłem głowę na klawiszach i płakałem. Rozlegał się

dzwonek — zatrzaskiwałem wieko (czasem zapominałem) i rzucałem się na łóżko udając, że śpię.

Nazajutrz skrzypce piszczały z jeszcze większym rozdrażnieniem. Smyczek był jak kij. Nie grałem, lecz biłem nim szacowną damę z Tyrolu.

Było jedno lato, kiedyśmy się na czas jakiś pogodzili — pojawiło się coś w rodzaju miłości. Przyczyną takiej zmiany były, jak to się często zdarza, okoliczności.

Znalazłem się w stepowym dworku na południu. Dom jedną stroną wychodził na sad, gdzie rosły morele i wiśnie, drugą — na równy, bezkresny step. We dnie hulał po nim gwizdząc ciepły, pachnący wiatr, a nocą powoli, po omacku, jak ślepiec, przepływał wysoko nad stepem błądy księżyc.

We dnie uganiałem się konno po stepie albo wylegiwałem się w sadzie. Nocą zapalaliśmy nad pianinem świece i otwieraliśmy wszystkie okna. Moją damę z Tyrolu ogarniał romantyczny nastrój. Sonaty Beethovena i Griega wypływały przez okna na step — w ciszę. Było to coś w rodzaju miodowego miesiąca.

W Woroneżu stosunki znów się zepsuły. Próbowalem jeszcze parokrotnie przywołać tamten nastrój — na próżno. Ona marzyła o innym życiu. Rozstanie było nieuniknione. W Petersburgu, w czasie głodu, «zjadłem» moje skrzypce, tzn. sprzedałem jakiemuś specjalście od instrumentów, żeby zdobyć pieniądze na «produkty żywnościowe». Poszły w ślad za encyklopedią Brockhousa i Efrona... Gdzież teraz podziewa się moja dama? Biedactwo. Zresztą, niewykluczone, że wróciła do swego Tyrolu i jakiś doświadczony skrzypek czule głaszcze jej delikatną szyjkę? Cóż, nie jestem zazdrosny.

Dama z Tyrolu mściła się na mnie kolejnymi niepowodzeniami. Stałem się tulaczem — jak wszyscy nieszczęśliwi kochankowie. Pożegnawszy się z anatomią rzuciłem się do fortepianu, ale tutaj oczekiwały mnie zwątpienia i nowe pokusy.

Mieszkam na mansardzie, szóste piętro, Fontanka. Kulawy stół, jedno krzesło, skrzypiące łóżko. Za oknem wyrudziałe czerepy dachów, chimery kominów i petersburski wiatr. Jestem zupełnie sam.

Obok, za cienkim przepierzeniem, mieszka Chińczyk-szofer. We dnie jeździ automobilem po mieście i milczy; nocą słyszę jęki i namiętny, przyspieszony oddech; masykularnymi, nalanymi żółtą krwią rękami ścisną różową europejską prostytutkę.

Od czasu do czasu spotykamy się w ciemnym korytarzu i w milczeniu kłaniamy się — trochę jako sąsiedzi, trochę jako przedstawiciele różnych narodowości. Chińczyk ironicznie mruży skośne oczy i odślania w uśmiechu zęby. Jeśli się nie mieszka w Chinach, to albo trzeba prowadzić samochód, albo — w ostateczności — być jego właścicielem. Moje życie jest dla niego niezrozumiałe.

W moim pokoju stoi wielki koncertowy fortepian. Wniesiono mi go z pierwszego piętra, z mieszkania bogatego kupca, u którego dają lekcje. Tam były dwa — stały obok siebie w milczeniu. Czasem, podczas rodzinnych uroczystości albo w Boże Narodzenie, jakaś ciotka bębniła walce i polki — innej muzyki w tym domu nie znano.

Kiedy przyniesiono go do mnie, był rozstrojony i ponury, nogi miał odkręcone. Przykręcono nogi. Fortepian ponuro zaległ w pokoju, gotów dać natychmiastowy odpór. Przyszłość nie wróżyła mu nic dobrego. Tam przynajmniej sobie odpoczywał, tutaj, rzecz jasna, zmuszę go, by grał, ale w jakże nędznych warunkach. Jego przeznaczeniem była wielka, jasna sala, estrada koncertowa. Stworzony był dla tysięcznych tłumów, cudownych rąk sławnego wirtuoza. Powinien być zapowiadany na afiszach — «Bechstein». A tymczasem — w czyjeż ręce się dostał? Cóż to za blady młodzieniec?

Wcisnąłem ogromne, czarne, błyszczące cielsko w kąt i nastroiłem, jak umiałem.

Zycie moje wypełnione jest uporem i szaleństwem. Nie mam ani samochodu, ani prostytutki. Jestem przedstawicielem szczególnej narodowości, nie spotykanej ani w Chinach, ani w Europie. Jestem rosyjskim młodzieńcem z początków XX w., pochłoniętym dociekaniem, po co zbudowano człowieka, i szukającym swego powołania. Jestem wędrowcem przygnanym z południowych stepów na petersburską mansardę przez wichher przedrewolucyjnej epoki, epoki rosyjskiego symbolizmu.

Jestem zupełnie sam. Potrzebny mi jest przyjaciel, wtajemniczony w najskrytsze moje zamiary, rozumiejący i życzliwy. Tymczasem nie mam nikogo, prócz tego czarnego koncertowego fortepianu. Każdego ranka podchodzę do niego, podnoszę wieko i dotykam palcami klawiszy. Odpowiada mi obojętnym, chłodnym, metalicznym dźwiękiem. Kościane, poźótkle nieco ze starości klawisze poruszają się niechętnie. Zadręczany gamami i inwencjami Bacha, fortepian wspomina zapewne spokojną drzemkę u kupca, gdzie pozostał jego bliźniak. Jeżeli już nie można stać na estradzie, to lepiej drzemać w kupieckim salonie.

Nie tylko ludzie i zwierzęta, lecz również przedmioty poddają się atmosferze miejsca, w którym przebywają. Tak, w moim fortepianie jest coś kupieckiego, mieszczańskiego. «Mieszczanin Bechstein» — nazywam go w myślach. On mnie nie rozumie i nie wierzy we mnie. Opiera się wszelkim moim porywom. Jest bezpłciowy i bezduszny.

Ze Szkoły Muzycznej Raphofa wracam wieczorami podniecony, podniesiony na duchu, pewny siebie. Szybko wbiegam po schodach, mijając starannie zamknięte frontowe drzwi mieszkań (pierwsze piętro — moi kupcy, specjalność tytoń, drugie — jakiś doktor-wenerolog, jakiś inżynier, potem adwokat, dentysta, potem po prostu

jakiś Liwsiyc). Ja, muzyk, wchodzę do swego pokoju i zamykam drzwi na klucz.

Zostajemy sam na sam z Bechsteinem. Dziś wreszcie go rozruszam i zmuszę, by odpowiadał mi prawdziwym głosem, takim, jak odpowiadało mi nasze stare woroneskie pianino (tak, tak, to było pianino, a nie fortepian), dobroduszne i najwyraźniej mi życzliwe. Nastroszony i przygarbiony jak ponury czarny ptak, fortepian oczekuje mnie w kącie. Wokół cisza. Chińczyk jeszcze pędzi w autobusu — tam, w dole. Za oknem ciemność. Nie widać ani ziemi, ani wody, ani nieba. Wraz ze swym ogromnym ptakiem zamknięty jestem w jakiejś klatce, zawieszanej u sufitu nocnej Europy.

Zapalam światło i podchodzę do fortepianu. W jego czarnym zwierciadle widzę swoje odbicie. Ironia i szyderstwo. Mieszczanin Bechstein nie uznaje żadnych uniesień. Doskonale wie, że i tak nie potrafię zagrać nic, prócz inwencji Bacha, «Fantazji» Mozarta i «Poème éroitique» Griega — szkolny repertuar. W jego możliwościach leży Liszt, Szopen, Skriabin. I co z tego?

Mocno stoi na trzech grubych, krótkich nogach — obojętny, mroczny, zgarbiony, stary. Nasze stosunki układają się źle. On mi nie pozwala na rozbieg, gamy wychodzą gorzej, palce ześlizgują się z czarnych klawiszy na białe. Doprowadzony do rozpaczki uderzam pięścią w klawiaturę i rzucam się na łóżko. Bechstein warczy i szczyrzy zęby. W sąsiednim pokoju trzasnęły drzwi. Zaraz Chiny zaczną dusić Europę.

Wtulam twarz w poduszkę.

Noc. Chińska duszna noc. Fortepian rozpostarł w pokoju wielkie czarne skrzydło.

Po chwili wszystko się zmienia. Wielka jasna sala z białymi kolumnami, wysoka estrada. Na estradzie — Bechstein z uniesionym skrzydłem. To mój przyjaciel, oczekuje mnie. Podchodzę, dotykam klawiszy. Instrument odpowiada mi niespokojnym, delikatnym, czarodziejskim dźwiękiem. Klawisze są smukłe, podatne i ciepłe, jak palce kobiety. Gram Liszta, Szopena, Skriabina...

Budzę się zmęczony i szczęśliwy, muzyka i ciepło rozlewają się po całym ciele. W pokoju mgła wczesnego petersburskiego poranka. Mieszczanin Bechstein szczyrzy żółte zęby. Tak żyć nie można.

Muzyką leczyłem woroneskie urazy. Na petersburskiej mansardzie jak w oranżerii, sztucznie podpędzane, dojrzewało moje dzieciństwo, stawało się młodością. Trzeba teraz zrobić jeszcze jeden wysiłek i wkroczyć w życie. I oto znów znalazłem się na moście. Znowu przechodzę na drugi brzeg. Tyle, że most już prawdziwy, przez Nową — na Wyspę Wasylewską. Szara, jesienna Newa grozi powodzią.

Powracam do Państwa Petersburskiego.

Podróż po Europie

Uniwersytet Petersburski jest przedłużeniem Newskiego Prospektu. Z całego uniwersytetu najważniejszy jest korytarz: kryty prospekt prowadzący w głąb Wyspy Wasylewskiej. Wyspę pokrywa system równoległych i prostopadłych prospektów. Ludność żyje tu według praw geometrii wykreślnej. Według tychże praw odbywa się ruch tramwajowy. Jedynie na nadbrzeżu i to właśnie koło uniwersytetu szyny tworzą nieoczekiwane i niezrozumiałe wygięcia. Tramwaj podskakuje i dzięki temu pasażerom, nawet gdy się zdrzemną, łatwo zorientować się: Uniwersytet. Korytarz rozbrzmiewa społecznymi i życiowymi aksjomatami. Jasno tu i ludno. Naukę zamknięto w ciemnych salach wykładowych, które, jak domy wzdłuż ulicy, ciągną się tylko z jednej strony. Po wejściu z korytarza jakoś tu nieswojo. Przez brudne, pokryte pamiętającym chyba jeszcze Piotrowe czasy kurzem okna widać czarne gałęzie drzew. Równie wiekowe niebo jest tego samego koloru co szarozółty sufit. Naukę oznaczają — katedra i rzędy ławek. Tak, jestem w starym Petersburgu, w centrum Państwa Petersburskiego. Tutaj hałaśliwie rozporządził się «Ojciec Ojczyzny». Uniwersytet nie wchodził w jego system — potrzebny był mu gmach dla dwunastu kolegiów³. Zbudowano go równie szybko i geometrycznie prosto, jak całe państwo. Podobnie jak i państwo, wyszedł niezupełnie tak jak trzeba, zwrócony ku Newie wąską, czterookienną ledwie, boczną ścianą. Życie stawiało opór gdzie tylko i jak tylko mogło. Urzędnicy o czysto wygolonych podbródkach we dnie witali imperatora gromkim «vivat», a nocą kładli pod poduszkę brodę i złani zimnym potem budzili się z koszmarnych snów. Co dzień pojawiały się coraz to nowe grożące nieszczęściem i ruiną ukazy. Właściciele ziemscy obowiązani byli zabudowywać geometrycznie poliniowany obszar Wyspy Wasylewskiej: «A kto nie zacznie, pozbawion będzie ruchomego i nieruchomego mienia, i żeby każdy dom wyciągnięty był pod dach w przyszłym 1726 roku (...) także, póki nie gotowe będą domy, by do nikąd nie wyjeżdżali pod groźbą utraty wszystkiego, jako było napisane». Do przyszłego roku, ku radości wystraszonych właścicieli ziemskich, nie dożył sam Budowniczy. Pozbawiony ruchomego i nieruchomego mienia wyjechał «do nikąd». Państwo Petersburskie zostało nie wykończone i bez dachu. Po Wyspie Wasylewskiej zaczęli się przechadzać niemieccy akademicy i rosyjscy poeci. Nie zabudowane domami prospekty wypełniały się głębią nauk i wzniosłymi odami. Tu, na nadbrzeżu, niedaleko od gmachu dwunastu kolegiów,

³ Tzn. — ministerstw (przyjp. tłum.).

zrodziło się rosyjskie piśmiennictwo, by stać się potem literaturą rosyjską.

Literatura nie była zamierzona w dzieciństwie. Starożytny poemat o grze w szachy leżał u ojca w biurku jako rodzinna relikwia. Niekiedy rozgrywalismy z bratem opisaną w nim partię. Na granatowej okładce widniał napis: «Hakrab' (Bitwa). Utwór Jakuba Eichenbauma. Przekład z hebrajskiego O. Rabinowicza. Wydanie drugie. Odessa. W rosyjskiej drukarni R. Belejson, 1874». Dalej był portret nigdy nie widzianego przez nas dziadka: surowy na wygląd, wygolony starzec w mundurze urzędnika państwowego; lewą rękę wspartą na okrągłym stoliku, w prawej trzyma półotwartą księgę. Potem siedł hebrajski tekst (motto, dedykacja). Tekst poematu drukowany był po lewej stronie w języku rosyjskim, z prawej po hebrajsku. Czytaliśmy tylko lewą stronę.

Przekład był niedobry: budowa stroficzna nie zachowana, nie oddane tempo, zwartość i dowcip językowy, za podstawę postuluje jakiś ograny puszkiniowsko-lermontowski szablon, skomplikowany osobliwościami odeskiego żargonu. Wtedy jednak nie rozumieliśmy tego o wszystkim (metoda formalna jeszcze nie istniała) i zapominając o szachach wstuchiwaliśmy się w słowa i rytm. (...)

Dokładnie w tym samym — 1840 roku, kiedy po raz pierwszy wydano poemat dziadka w Londynie, Lermontow kończył w Petersburgu «Demona».

Dla mnie i dla brata Puszkina i Lermontowa, podobnie zresztą jak i cała rosyjska literatura, byli literaturą «gimnazjalną» — «braliśmy» ją według podręcznika Niezielenowa. Innej literatury w domu nie było. W szafie bibliotecznej stały książki medyczne i kolejno przychodzące z Petersburga tomy encyklopedii Brockhousa i Efrona — te same, które później zabrałem do stolicy i ostatecznie wymieniłem na «produkty żywnościowe». Dziś najprawdopodobniej leżą w antykwariacie na Litiejnym i z wyrzutem spoglądają na mnie, ja zaś przechodzę obok i zwalniając kroku myślę: może by jednak kupić?

Prawa dziedziczości, nad którymi nie wiadomo czemu nie zastanawiali się moi rodzice (Leshaft kategorycznie je odrzucał), zaprowadziły mnie do gmachu dwunastu kolegów — na wydział historyczno-filologiczny Uniwersytetu Petersburskiego.

Niepotrzebnie myli się historię z chronologią. Historia jest realna i podobnie jak przyroda i materia — nieruchoma. Tworzona jest przez zwykły fakt śmierci i narodzin — fakt przyrodniczy, nie mający nic wspólnego z czasem. Chronologia i czas to abstrakcja, wymysł i umowność regulujące życie rodzinne i służbę państwową. W gmachu Uniwersytetu Petersburskiego zastałem tę samą walkę, która toczyła się w gmachu dwunastu kolegów. Brody wprawdzie

z upodobaniem nosili i profesorowie, i studenci, nadal jednak trwała tu odwieczna walka dwóch kultur: słowiańsko-ruskiej i romańsko-germańskiej. Tak zresztą nazywały się dwie wrogie sekcje wydziału historyczno-filologicznego. Pierwsza z tych kultur opierała się na języku staro-cerkiewno-słowiańskim i zabytkach piśmienictwa staroruskiego, druga — na prowansalskich trubadurach, niemieckich minezengerach i uwielbieniu dla Dantego.

Mieścili się na dwóch przeciwnych końcach korytarza: w sali numer jedenaście — słowianofilstwo, w sali numer cztery — okcydentalizm. Między nimi, jako dziedziny neutralne, gnieździły się filozofia, historia, filologia klasyczna. Z drugiego brzegu Piotr ni to ironicznie, ni to gniewnie wskazywał palcem — ni to na zachód, ni to na Uniwersytet, ni to na mnie.

Słowiańsko-ruska kultura nie wciągnęła mnie. Nawet «Słowo o wyprawie Igora» mnie nie poruszyło — to była wciąż ta sama, woronesko-gimnazjalna literatura, a ja już powoli zaczynałem zapominać o Woroneżu i nie chciałem do niego wracać. Uczyliśmy się tego «Słowa» na pamięć w czwartej klasie i długo śmieszył nas początek: «Nie zdałoby się, bracia mili...».

Oj, nie zdałoby się, nie zdałoby! Nie miałem najmniejszych skłonności do słowianofilstwa. Nawet wykład akademika Szachmatowa o losach litery «jat'» nie zafascynował mnie — wciąż byłem zbyt pochłonięty własnym losem. Było to w ciemny, żółty, październikowy dzień. Malutki człowieczek niespokojnym i cichym głosem opowiadał o przemianach głosek i sypał przykładami z latopisów. Przeszłość nie przygotowała mnie do lingwistyki, przyszłość rysowała się mgliście. Wyszedłem rozczarowany. Wiele lat później przyszedłem do profesora Szachmatowa z pracą o melodyce wiersza napisaną w oparciu o naukę niemiecką. Wtedy też zrozumiałem, że słowiańsko-ruska kultura może być różna.

Los mnie prześladował. Znowu błąkałem się, tym razem nie po ulicach, lecz po uniwersyteckim korytarzu. I oto nagle, nie wychodząc z budynku znalazłem się w Europie, to znaczy w sali numer cztery, w atmosferze niemieckiego romantyzmu, liryki prowansalskiej, starofrancuskiego eposu, «Boskiej komedii» Dantego. Moje poszukiwania skończyły się. Nie przypadkiem Piotr mi wskazywał palcem kierunek. Zmieszana z rosyjską żydowska krew tworzy najwidoczniej szczególnie związek chemiczny, podobny do krwi romańsko-germańskich narodów.

Tak więc wyruszyłem w podróż po Europie — sposób stary, ale najwidoczniej pożyteczny. Wprawdzie odbyłem tę podróż tylko w wyobraźni (w rzeczywistości do dziś dnia nie byłem dalej niż w Finlandii), ale widać w młodości wystarczy i taka możliwość. Towarzyszyli mi młodzi petersburżanie; niektórzy później na stałe przenieśli się do Europy, inni zostali, by propagować literaturę europejską na rosyjskim gruncie.

Był wśród nich chłopiec od pierwszej chwili fascynujący mnie swo-

im wyglądem. To był jeszcze zupełny dzieciak — szczupły, bardzo smagły, z przepastnymi semickimi oczyma i dziecięco zmysłowymi, jak gdyby spuchniętymi trochę wargami. Wodziłem za nim oczami zakochanego. Zaprzyjaźniliśmy się i moja podróż po Europie nabrała już całkiem romantycznego charakteru. To, że poznałem i pokochałem Novalisa, Tiecka, braci Schlegel i angielskich prerafaelitów, zawdzięczam naszej przyjaźni. Był romantykiem, rozkwitł w ogrodach petersburskiego symbolizmu. Wraz z kwiatami symbolizmu przekwitł i on, stał się klasycznym uczonym. Mnie od symbolizmu uchroniło spędzone w Woroneżu dzieciństwo.

Wywodząca się od Aleksandra Wesołowskiego i, naturalnie, burżuazyjna, uniwersytecka kultura romańsko-germańska osiągnęła wówczas swój szczyt. Najważniejsze było, że interesowała się nami i pomagała nam epoka. Czulo się to nie tylko w sali numer cztery, ale i poza murami uczelni. Znajdowaliśmy się w głównym nurcie — jakiś historyczny Gofsztrom obmywał nasze brzegi niosąc ciepło i budząc natchnienie.

Podróżowaliśmy grupką; łączyła nas nie ideologia, lecz styl duchowy i umysłowy. Była wśród nas jedna kobieta, pełna zalet umysłu i ducha. Tłumaczyła pieśni prowansalskich trubadurów, «Nowe życie» Dantego, z wielkim kunsztem słownym i muzycznym śpiewała stare francuskie romanse. F. A. Braun, dawno zżyty z Rosją, ale fizjologicznie ciągle pozostający Europejczykiem, był naszym nauczycielem i starszym kolegą. Odmłodzony w naszym towarzystwie, wraz z nami pasjonował się niemieckim romantyzmem. Wielu pisało wiersze: ja też.

To prawda, że chwilami zaczynałem źle się czuć w klimacie tej wykwiśniętej europejskiej kultury. Otaczali mnie petersburżanie z krwi i kości, a we mnie tkwił jeszcze prowincjonalny dzikus. Europa mnie fascynowała, ale nie umiałem i nie chciałem się stylizować. Przyszłość wciąż była wielką niewiadomą. Odpoczywałem od dzieciństwa i petersburskich niepowodzeń.

Rosja jest krajem męczącym. Nabierałem sił.

Po dwóch latach wróciłem do ojczyzny innym człowiekiem. Ojczyzna też się trochę zmieniła. Symbolizm przeradzał się w akmeizm. Słowiańsko-ruska kultura najwyraźniej przesunęła się w XIX wiek. Słowianofilstwo zaczęło («powtórnie po raz trzeci») godzić się z okcydentalizmem. Sercem słowiańsko-ruskiej sekcji stało się seminarium puszkinowskie Siemiona Afanasjewicza Wiengierowa, który drobnymi kroczkami chodził po korytarzu otoczony «brodą i studentami». Żartowano: «Siemion prosiemienił w prosieminarij»⁴.

Pewnego razu na seminarium poprosił o głos chłopiec zdumiewająco podobny do Puszkina. Śmiały, choć nie całkiem jeszcze usta-

⁴ Trudna do przetłumaczenia gra słów: „Siemion podreptał na prosieminarium” (przyp. tłum.).

lonym głosem zaatakował referenta. Nie był to głos Europejczyka, ale i nie «słowiańskiego» studenta. Najwidoczniej w czasie mojej podróży wyrosło nowe pokolenie. Zapamiętałem tego puzkino-
loga — warto było.

Skończyły się podróże po Europie i spaceru po korytarzu Uniwersytetu Petersburskiego. Opuściłem jego kryty prospekt i wyszedłem na otwarty, nie osłonięty od wiatru, chłodu i deszczu prospekt życia.

Wiersze i żywioły

Literatura, podobnie jak i muzyka, wymaga swoich inwencji oraz gam. Prócz dziedzicznych skłonności miałem też pewne przygotowanie; obszerne wypracowania w gimnazjum, artykuł o Puszkynie, który wyskoczył mi jeszcze w trakcie studiów nad anatomią, referaty na seminariach, sekretarowanie u M. K. Lemkego, kilka artykułów w czasopismach i gazetach, wreszcie wiersze.

Kiedy przyjechałem do Petersburga, miasto pełne było symbolistów. Publiczność nazywała wszystkich bez wyjątku dekadentami, ale zaczynała już się oswajać z tym, że istnieje Aleksander Błok. Potem na mostach i prospektach pojawili się akmeiści i futuryści. Nadchodził czas niespodzianek i zmian. Andrzej Bieliy wydał swoją biblię symbolizmu. Jeszcze do niedawna wydawało się nam, że białe noce reżyserował Meyerhold, teraz stawały się podobne do wierszy Gumilowa lub Anny Achmatowej.

Chodziłem po mostach i prospektach jako początkujący literat bliżej nieokreślonej partii. W przeciwieństwie do rodowitych petersburżan, którzy około trzydziestki nagle z romantyków stawali się klasykami, ja w tym wieku czułem się jeszcze młodym chłopcem. To, co w życiu najważniejsze, wygląda na przypadek, ponieważ dokonuje się według żywiołowych praw historii. Człowiek jest młody dopóty, dopóki ma wycucie żywiołu historii i na nim buduje swe życie. Najmniej pewnym rodzajem działalności, zwykle kończącym się krachem, jest dyplomacja. Historia gardzi dyplomata-
tami — nie tylko w polityce, lecz i w literaturze.

Nie spieszyłem się i oczekiwałem przypadków. Na razie życie płynęło spokojnie, rodzinnie, w odosobnieniu. Ćwiczyłem literackie inwencje i gamy.

Pisanie wierszy rozwija słuch literacki. Żeby postyszeć odcienie znaczeniowe słów, trzeba je zestawić obok siebie, w taki jednak sposób, by pozostały wyodrębnione. Osiąga się to poprzez rytm. Żeby słowo zamienić w rzecz (a na tym polega całe zadanie literatury), trzeba je umieścić tak, jak umieszcza się eksponaty na wystawie.

Wiersze rodzą się z potrzeby zatrzymania się nad słowem, przypatrzenia mu się, pobawienia się nim. W potocznym użyciu słowa płyną chaotycznym, mętnym strumieniem — wiersz zamraża je i przemienia w przezroczyste kryształki lodu, mieniające się w słońcu wszystkimi kolorami tęczy.

A zatem, pisałem wiersze, by się przyglądać i przysłuchiwać słowu. Mikołaj Gumilow wołał mnie do akmeistów i zamieścił dwa moje wiersze w czasopiśmie «Gipierboriej». Nie byłem ani symbolistą, ani akmeistą, ponieważ żyłem w poczuciu przypadkowości historii i oczekiwałem niespodzianek. Zbliżał się czas powstań i kryzysów. Nieruchoma w czasie historia prężyła mięśnie jak przeciągający się w legowisku zwierz. Przeciwno kulturze nadciągała natura.

przełożyła Jadwiga Reiferowa